

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Piosnka nad kołyską.

Spij, dziecinko, już,
Słuchaj oczka zmrz,;
Słuchaj deszczyk pada tam,
Piesek szczeka grozi nam;
W bramie dziad wyciąga rękę,
Pies rozerwał mu sukienkę,
Aż biedaka broni stróż,
Spij dziecinko, już!

Nie płacz, synku, nie!
Słyszysz, wicher dmie;
Spał zajączek w zbożu spał,
Zbudził go daleki strzał;
Wyszedł strzelec, bronią błyska,
Wygnał śpiocha z legowiska,
Hej, zajączek żwawo mknie,
Nie płacz, synku, nie!

Spij, buziaczku z róż,
Tyś nie głodny już;
A gołąbek siadł przed sień,
Szukał ziarenek cały dzień;
W gniazdku pyta się gromadka,
Gdzie tak długo nasza matka!
Słońce zaszło dawno już,
Spij, buziaczku, z róż!

Zmrz oczka, zmrz!
Dziadek poszedł już,
I zajączek w zbożu spi,
Strzelec chybił, wraca zły;

Gołąbeczek karmi dzieci,
Jutro słońce znów zaświeci;
Spiących strzeże Anioł Stróż,
Zmrz oczka, zmrz!

Dzieje Narodu Polskiego

OKRES IV.

(Ciąg dalszy.)

Dzielny czyn Walentego Wąsa pod Połockiem.

Stefan Batory, wojując Maskwę, powołał w swoje szeregi niemającą liczbę włościan i w ogóle nieszlachty. Kiedy Polacy oblegli Połock, wtedy odznaczył się przy tem oblężeniu męstwem niesłychanem niejaki Wąs Walenty nieszlachcic. Podsunęli się nasi pod wały, gdy wtem oto z wieży zaczęli Moskale okropnie razić nacierających. Naznaczono łuczywa, chróstu, słomy, aby wieżę podpalić, ale nikt nieśmiał się zbliżyć pod wieżę, gdyż kule jak grad padały. Wtedy Walenty Wąs, chociaż już ranny, porwawszy zapalone łuczywo, pobił co żywo pod wieżę i stós nagromadzony podpalił. Buchnął płomień tem więcej, że wiatr silny zawiał, a Moskale zaraz się poddali. W skutek tego wnet Połock został zdobyty. Za ten czyn dzielny mianował Batory Wąsa szlachcicem, dając mu za herb Połotę. Odebrał też jeszcze Wąs dwadzieścia łanów zie-

ni na własność, a później uzyskał stopień rotmistrza. Od miejsca dzielnego czynu został Polotyńskim nazwany. Herb Polota jestta ręka, trzymająca pochodnię i przeszyta strzałą, a góry zaś wieża o dwóch dachach i czterech oknach, z których dwie chorągiewki wystają.

Ogólny pogląd na czwarty okres Dziejów Polski.

Rozkwit piśmiennictwa polskiego.

Polska w czwartym okresie była potężna, bogata, szczęśliwa. Liczne narody dobrowolnie pod jej opiekunęce skrzydła się garnęły. Rolnictwo, handel, przemysł, oświata kwitnęły. Polska była za Zygmunatów jednym z najoświecenijszych narodów w Europie, tak iż Włoch pewien Polsce przyznał pod względem nauk pierwszeństwo przed Włochami.

Najważniejszym czynem w czwartym okresie było połączenie Litwy z Polską. Długich trzeba było starać, aby tego połączenia dokonać. Rozpoczęli to dzieło Piastowie (Łokietek, Kazimierz Wielki i Jadwiga), a dokończyli Jagiellonowie. Wróciło też do Polski Pomorze i Mazowsze, przez co Polska stała się rozległą i silną.

Inne narody szukały z Polską ścisłego przymierza, tak mianowicie Czesi i Węgrzy, obierając sobie królów z rodu Jagiellonów. Sława Polski po świecie całym się rozlegała.

Polska w tym okresie przedstawia piękny przykład zgody na polu religijnem. Nie prześladował brat brata za to, że inną wyznawał religią. Gdy było niebezpieczeństwo, to wszyscy bez różnicy religijnego wyznania spieszyli biec wroga. Później też, gdy się zaczęły w Polsce prześladowania religijne, zaczął się upadek naszego narodu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jakto ludzie łowią małpy.

Ile u nas w polu jest zajęcy, a w lesie wiewiórek, tyle też w niektórych krajach małp po lasach. A skaczą po drzewach, a figlują a gonią się i dokazują, jak małe dzieci, kiedy miare w figlach przebiorą!

Są ludzie, którzy zajmują się łowieniem małp, a potem sprzedają je do menażeryi lub do zwierzyńców.

Opowiem ci, jakim sposobem je chwytają, bo małpa jest dzika i zwinna i tak łatwo schwycić się nie da.

Napełniają ludzie wielki ceber wodą, zanoszą go do lasu, w którym znajdują się małpy i zaczynają w tym cebrze myć się przez dłuższą chwilę.

Potem wylewają wodę z cebra, napełniają go płynem, bardzo kleistym i lepkim. Nareszcie odchodzą, ale właściwie chowają się za drzewa.

Przez ten czas, małpki siedząc na drzewie, przyglądają się z wielką niecierpliwością tej robocie, bo i one nabrały ochoty umyć się doskonale i popluskać się w cebrze.

Więc dalejże z drzew na ziemię i hop, do cebra. I jak się zaczęła myć i myć, jak zaczęła nacierać nos, uszy, oczy, szyję, ręce, nogi i ciało całe, ale zamiast wodą, tą lepą cieczą, — to im się wszystko pozalepia.

Wtedy zaraz wyskakują ludzie z zasadzki...

Strach okropny! Małpy chcą uciekać, ale ani rusz z miejsca, bo nogi poprzylegały im do ziemi. Chcą się bronić, lecz nie mogą, bo ręce poprzylegały im do ciała, a palce się pozlepiały. Chcą kąsać, lecz nie mogą, bo wargi pozlepiały im się zupełnie. Nie mogą tedy ani uciekać, ani się bronić, i muszą rade nie rade dać się związać i uprowadzić w niewolę.

Ale potem z łatwością przyzwyczajają się i przywiązują do człowieka, byle się z niemi dobrze obchodzono.

Zygmus na lodzie.

Przy dworku rodziców Zygmunusia znajdował się staw obszerne. Mały Zygmus obiecywał sobie zawsze, że skoro tylko nadejdzie zima, poprosi ojca o łyżwy i spróbuje ślizgawki.

Nadeszła zima; staw pokrył się ślicznym gładkim lodem. Zygmus dostał na gwiazdkę od rodziców piękne łyżwy, lecz ojciec zakazał mu surowo chodzić samemu na lód zwłaszcza że mróz był jeszcze niewielki, a lód cieniutki jak papier.

Zygmus jednak pragnąc czempredziej spróbować łyżew, nie pamiętał o rozkazie i upomnieniach ojca: wymknął się niepostrzeżenie z domu i pobiegł na staw. Było tam już kilku chłopców, lecz żaden nie miał odwagi spróbować ślizgawki. Dobrze też robili, że się lekali, bo taka odwaga na nic się nie zda: lepiej przeczekać kilka dni,

niż narażać się na niebezpieczeństwo i broń Boże !
na utratę życia.

Ale Zygmus naprzekór chciał być tym zuchem,
co to się niczego nie boi. Wbiegł więc śmiało,
zamaszyście na lód. Chłopcy błagali go na
wszystko, aby się nie posuwał daleko, lecz
Zygmus roztrącił ich łokciami i poszedł śmiało ku
środkowi stawu. Jeszcze po raz drugi i trzeci
upominali go z daleka mali towarzysze, prosili,
zaklinali, — nic nie pomogło, Zygmus ruszał
dalej.

— O tchórze ! tchórze wołał z daleka dumny
Zygmus — o piecuchy ! o zajaczki !... boicie się
pewnie, aby się ta zmarzła ziemia pod wami nie
załamala !

Wtem, trzask ! trzask !... lód się kruszy pod
Zygmuśm i nasz zuch w jednej chwili dostaje
się pod lód i znika przestraszonym chłopcom
z oczu.

Na szczęście znajdował się wtedy jakiś rybak
nad stawem ; spostrzegłszy niebezpieczeństwo
dopadł swej łódki i łamiąc lód przed sobą dotarł
jeszcze w sam czas do Zygmuśm ; wydobył go
już prawie nieżywego z wody. Zniesiono go też
czempredzej do domu, przywołano lekarza i...
ledwie, ledwie zdołano go ocucić i wyrwać nie-
chybnej śmierci. Zygmus przeziębł się mocno i
rozchorował ; przeleżał też niemal cały miesiąc
w łóżku, ku wielkiemu zmartwieniu rodziców.

W następnym roku był już uważny, wyrzekł
się żartów z lodem i szedł na ślizgawkę tylko
wtedy, kiedy mu ojciec lub matka na to pozwolili.

Wszystko mam od Boga.

Mam ócz dwoje jasnych czystych,
Jak dwie gwiazdy przezroczystych,
Widzę kwiatki, drzewa, krzaki,
Błękit nieba, twór wszelaki.

A to dar jest Boga mego,
I co widzę, wszystko Jego.
Dwoje uszu mam u głowy,
Abym słyszał wszystkie mowy.

Czy to, gdy mnie matka woła,
I obsiadłem ją do koła,
Czy gdy ojelec rzeknie do mnie :
Ucz się pilnie, baw się skromnie.

A i usta mi też dane,
Z przeznaczenia dobrze znane ;
Niemi wszelką myśl objawiam,
Odpowiadam i rozprawiam.

Mogę śpiewać, śmiać się, żalić,
Pacierz mówić Boga chwalić.
I dwie ręce też mam w darze,
Prawą, lewą, zawsze w parze.

Obie dziesięć palców mają,
I czasem sobie igrają
Ale później to z ochotą,
Żwawo zajmą się robotą.

Mam i nogi, stoją obie,
Lub gdy zechcę, chodzą sobie,
Serce jedno w piersiach czuję,
Male, przecież się raduję.

Kocha ojca, matkę miłą,
Bo dla czegółby tak biło.
Co mu Bóg dał takie bicie,
On da serce, miłość, życie.

Mały bohater.

POWIEŚĆ.

I. Więźniowie.

Wąską ścieżką w prastarym lesie szli dwaj
Indyanie z pokolenia Komanczu.

Promienie położonego słońca z trudnością
przeświecały poprzez gęstwinę liści i gałęzi, to
też wokoło panował półmrok zielonkawy. Z
głębi lasu odzywał się od czasu do czasu ryk
przytłumiony bawołu, wycie głuche wilka, lub
pisk ptaka drapieżnego, i znów następowała
cisza, jak gdyby sam las przysłuchiwał się w
ginącym w dali tonom. Mimo upału i gorąca
grunt pod krzewami był wilgotny i skutkiem
tego wprawne oko Indyan łatwo rozróżniało
ślady jelenia, dzików, lekkie kroki wilków i
szerokie kroki króla lasów północno - amerykań-
skich, niedźwiedzia.

Starszy Indyanin idący przodem, miał na-
rzucony na plecy płaszcz, podbity futrem niedź-
wiedziem ; za szerokim pasem tkwił tomahawk,
czyli siekiera bojowa indyjska, i długi nóż my-
śliwski ; obok widniała prochownica i kotłosał się

kapeciuch z tytuniem; przez ramię miał przerzuconą dubeltówkę, a na nogach lekkie obuwie indyjskie, zwane makasynami.

Twarcz Indianina nacechowana pewną dumą i powagą w spojrzeniu, nie była zeszpecona tatnowaniem, jak to się często zdarza u czerwoskórnych, którzy chętnie wykluwają i napuszczają farbą rozmaite rysunki na swej skórze. Czarne włosy, w górę zaczesane, ozdobione były trzema długimi piórami ze skrzydeł orla skalnego, znak godności wodza plemienia.

Młodszy Indianin lat może piętnastu, uzbrojony podobnie, jak starszy, tylko mniej bogato, smukły i zgrabny, miał w rysach twarzy takie podobieństwo do starszego, że z pierwszego rzutu oka można było poznać, że jest synem wodza.

Szersza ścieżka pozwoliła im od jakiegoś czasu iść obok siebie.

Wtem młody nachylił się nagle ku ziemi i zaczął pilnie przypatrywać się śladom. Starszy przystanął spytał przyciszonym głosem:

— Co widzi Chyży Jeleń? Czy ślad niedźwiedzia, czy tropy innego zwierzęcia?

Młody, nie odrywając oczu od ziemi, odpowiedział:

— Niech Czerwony Blask sam spojrzy!

Wódz się pochylił i rzekł po chwili:

Stopa Indianina, ale nie z naszego plemienia... Czy Chyży Jeleń odgadnie, kto dziś tędy przechodził?

Młody przykleknął i badał pilnie lekki ślad, pozostawiony na wilgotnawej ziemi, wreszcie spojrzał roziskrzonym wzrokiem na ojca i szepnął:

Tędy przechodził Siuks! — Czego szukają te tchórzliwe wilki w naszym lesie?

— Mój syn poznał ślad wroga — pochwalił Czerwony Blask. — Siuksowie wdarli się do naszych borów, aby wypatrzyć nasz obóz, a potem nocą napaść, gdyż w otwartej bitwie ci tchórze zawsze ulegną Komanczom. Wielki Duch Indian odwrócił jednak od nich swe oblicze, gdy zdradził ich obecność wodzowi Komanczów. Czerwony Blask i Chyży Jeleń muszą pospieszać do domu, aby przyjąć godnie tych nienawistnych gości.

Mówiąc to zdjął z ramienia dubeltówkę, opatrzył tomahawk i kordelas, a skinąwszy na syna, ruszył w dalszą drogę. Idąc, nasłuchiwał każdego szelestu, szmeru, gotowi każdej chwili do obrony; ale wokoło nie spostrzegli nic podejrzanego.

Ścieżka leśna przechodziła obecnie przez małą haliznę, w środku której z pod wysokiej skały, samotnie sterczącej, było źródło.

Zanim dwaj Indianie weszli na tę leśną łączkę, przystanęli i rozglądali się bacznie na

wszystkie strony. Ale w okół panowała cisza grekowa, zwolna więc ruszyli dalej.

Już byli niedaleko źródła, gdy uszu ich dobiegł szmer liści i trzask gałązek. Stanęli. Nagle wszystkie krzewy, otaczające łączkę, zakolysały się, i z gąszczu wychyliły się dzikie postacie Siuksów. Rozległ się groźny okrzyk:

— Śmierć Komanczom!

Siuksowie wywijali tomahawkami, napinali łuki i podnosili dzidy. Dwaj rapadnieci wycelowali swe strzelby, rozległy się cztery strzały i czterech Siuksów zboczyło krwią leśną polankę; pozostali jednak szybko rzucili się na dwóch Komanczów, aby nie dopuścić do nowego nabelecia wystrzelonych dubeltówek.

Wtem odezwał się grzmiący głos:

— Wojownicy, nie strzelajcie! To wódz Komanczów, Czerwony Blask i jego syn Chyży Jeleń. Musimy ich dostać żywcem, aby zginęli na palu męczeńskim!

Rozkaz wodza przyjęli Siuksowie radosnym okrzykiem: „hugh!“ i zaczęli otaczać Komanczów. Czerwony Blask skoczył wraz z synem ku wystającej skale, i oparłszy się o nią plecami, obydwa bronili się zjadale. Każdy z Siuksów, który się zbliżył, otrzymał cios tomahawkiem lub kordelasem. Patrząc na tę walkę, wódz Siuksów krzyknął:

— Niechaj wódz Komanczów podda się odważnym Siuksom!

— Chytry Wąż nie godzien, by mu Czerwony Blask odpowiadał, jednak wódz Komanczów powie kilka słów. Gdyby Czerwony Blask należał do Siuksów, musiałby słuchać Chytręgo Węża, ale on jest wodzem Komanczów i kto chce naszych tomahawków, niech po nie przyjdzie.

Siuksowie rozgniewani nacierali goręcej, ale bezskutecznie. Już chcieli zabić strzałami broniących się, gdy ich wódz krzyknął:

— Podli Komanczowie muszą zginąć w mękach na palu! Biada temu, kto ich zastrzeli!

Wydawszy ten rozkaz, wmieszał się wódz między swych wojowników i pomówił z kilkoma na uboczu. Po chwili kilku Siuksów zniknęło w gęstwinie lasu. Gdy pozostali, zachęceni przez wodza, nacierali na Komanczów, a ci zajęci obroną, nie zważali na boki, nagle poczuli na sobie sznury, które ich silnie przykrepowano do skały. Był to podstęp wojenny Chytręgo Węża, który w ten sposób dostał w swoją moc wodza Komanczów i jego syna.

(Dalszy ciąg nastąpi.)